James Blish

One-Shot

(One-Shot)

`

Astounding Science Fiction, August 1955
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

W dniu w którym polski frachtowiec *Ludmiła* podrzucił nam zgniłe jajo w porcie w Nowym Jorku, Abner Longmans ("One-Shot") Braun był w mieście i zajmował się swymi zwykłymi interesami, polegającymi na robieniu kolejnego miliona dolarów. Jak się później o tym przekonaliśmy, niemal nic innego w czasie tego konkretnego weekendu nie toczyło się dla Brauna w zwyczajny sposób. Przede wszystkim, zabrał ze sobą rodzinę – kompletne odejście od rutyny – odzwierciedlające bezprecedensowo legalny charakter interesów, które miał zamiar przeprowadzić. Z każdego natomiast punktu widzenia, był to kiepski czas, aby w jego interesy wmieszało się CIA, niestety jednak nikt tego wcześniej nie wytłumaczył szyprowi *Ludmiły*.

Lepiej będzie, jeśli od razu w tym miejscu dodam, że nie wiedzieliśmy o niczym, dopóki to się nie wydarzyło; z punktu widzenia toku akcji danej historii, organizacja taka jak Civilian Intelligence Associates rozpracowuje wszystkie związane z nią fakty wstecz, podchodząc do całej sprawy od strony kłębka, a następnie rozwikłując ją do początku nitki i otrzymując w wyniku tego zestaw podstawowych informacji, wykorzystywanych przez komputer w Następnym Przypadku. Ciężko to zrozumieć ludziom, którzy próbują na podstawie tego co robimy tworzyć fabuły – szczególnie dla co bardziej leniwych okazów z tej grupy, które przychodzą do nas spodziewając się, że dostaną podane na tacy gotowe scenariusze do swoich dzieł – ale to jest dla nas normalny sposób działania, i tego nie da się zmienić.

Z pewnością nikt w CIA nawet nie pomyślał o Braunie, kiedy pojawiły się pierwsze wieści. Harry Anderton, szef Ochrony Portu, zadzwonił do nas w piątek, o 8:30, by zlecić nam zadanie zidentyfikowania problemu; i to był właśnie moment, od którego, zgodnie z naszymi rejestrami, weszliśmy do sprawy, ale, oczywiście, Anderton już przez całą poprzednią godzinę musiał słać wściekłe depesze do Waszyngtonu, żeby otrzymać zgodę na wydanie na nas części swoich pieniędzy (nasz status bezpieczeństwa był wtedy, podobnie jak i obecnie CJŁ – Czyści Jak Łza).

To ja byłem w głównym biurze, kiedy odezwał się telefon, i miałem pewne problemy z dokładnym zrozumieniem, czego Anderton od nas chce.

— Pułkowniku Anderton, czy mógłby pan odrobinę zwolnić — błagałem go. — Dwie czy trzy dodatkowe sekundy, nie zrobią nam większej różnicy. Przede wszystkim, w jaki sposób dowiedział się pan o tym niemiłym prezencie.

— Automatyczne grodzie na *Ludmile* były uszkodzone — wyjaśnił. — Zdaje się, że to śmierdzące jajo było ukryte pomiędzy mnóstwem innych skrzyń w dennym luku awaryjnym ładowni.

— A co to jest denny luk awaryjny?

— To właz do pozbywania się niebezpiecznego ładunku. Część dna statku otwiera się prosto na królestwo Davy'ego Jonesa. Standardowe rozwiązanie dla jednostek przewożących wybuchowe, radioaktywne

materiały, czy też cokolwiek innego, co mogłoby nieoczekiwanie wywołać zagrożenie.

— W porządku — oznajmiłem. — Proszę mówić dalej.

— No cóż, właz denny miał zamontowane urządzenie zegarowe, ustawione tak, aby zrzucić to paskudztwo, kiedy statek ruszy w górę rzeki. Zadziałało idealnie, ale grodzie automatyczne, które powinny zabezpieczyć resztę statku przed zalaniem, kiedy luk zostanie otwarty, już nie. A przynajmniej nie tak idealnie. *Ludmiła* zaczęła tonąć, a kapitan podniósł wrzask o pomoc. Kiedy Patrol Portowy znalazł otwarty właz denny, wezwał nas.

— Rozumiem — zastanowiłem się przez chwilę. — Innymi słowy, nie wie pan, czy *Ludmiła* naprawdę podrzuciła nam jakieś zgniłe jajo, czy nie?

— To właśnie przez cały czas próbuję panu wyjaśnić, doktorze Harris. Nie wiemy, co statek nam podrzucił i nie mamy żadnego sposobu na to, aby się tego dowiedzieć. To może być jakaś bomba – albo cokolwiek innego. Przesłuchujemy obecnie każdego kto był na pokładzie, ale jak na mojego nosa, to oni wszyscy nic nie wiedzą; cała procedura została tak przygotowana, by działała automatycznie.

— W porządku, bierzemy to — powiedziałem. — Macie tam na dole nurków?

— No pewnie, ale…

— No cóż, o nasze tyłki będziemy martwili się później. Proszę zorganizować bezpośrednią linię z pańskiej barki dla nurków, tutaj do nas, tak żebyśmy mogli kierować pracami. I lepiej jeśli pan tu przybędzie osobiście.

— Dobrze.

Zabrzmiało to, jakby spadł mu z serca stutonowy głaz. Ludzie z rządu pokładają w CIA ogromne zaufanie; zbyt duże, według mojej osobistej oceny. Pewnego dnia sprawy ułożą się tak, że nie damy sobie z nimi rady, i wtedy Waszyngton będzie pluł sobie w brodę – czy też, co bardziej prawdopodobne, będą to robić jakieś kozły ofiarne – za to, że nie stworzono porównywalnego departamentu rządowego.

I nie było zbyt wielkich widoków na to, żeby Waszyngton to zrobił. Oficjalna linia postępowania już od lat biegła w zupełnie odmiennym kierunku. Precedensem była tu organizacja Associated Universities, którą uruchomiło Brookhaven; CIA powstała w ten sam sposób, jako luźna korporacja uniwersytetów i jednostek przemysłowych, które wszystkie chciały mieć na własność ULTIMACA, ale żadne z nich nie miało wystarczających pieniędzy, by sobie go kupić tylko dla siebie. Administracja Eisenhowera, z całym jej naciskiem na prywatne przedsięwzięcia i związaną z nim niechęcią do topienia funduszy federalnych w projektach o takich rozmiarach, przekształciła te dwa przykłady w całkiem solidny trend, który, jak przepowiadał sam ULTIMAC, nie ulegnie odwróceniu w praktycznie możliwym horyzoncie czasowym istnienia CIA.

Zadzwoniłem po dwóch ludzi, i po pięciu minutach miałem już do dyspozycji Clarka Cheyneya i Joan Hadamard, odpowiednio, menedżera i kierowniczkę działu nauk społecznych. Ich tytuły służyły wyłącznie jako przykrywka dla potrzeb działań operacyjnych – to jest Clark i Joan służyli w tych specjalnościach, ale służba ta zajmowała jakieś dwa procent ich uwagi oraz czasu. Rzuciłem im kilka zdań wyjaśnienia, ufając, że resztę tego co im będzie potrzebne dosłuchają sobie z taśm, i sprawdziłem linię na barkę nurków.

Była już gotowa. Anderton, kiedy zyskał pewność, że wzięliśmy się za rozwiązanie głównego problemu, zabrał się do roboty szybko i zdecydowanie. Ekran telewizyjny rozjaśnił się, ale nie było na nim widać niczego poza przyćmionym światłem, poznaczony powoli unoszącymi się i opadającymi paskami ciemności. Z głośnika dolatywało nieustannie jakieś: kloooonk … oing, oing … bonk … oing… Odgłosy jakby spod wody, niewyraźne i nieokreślone.

— Halo, wy tam, w porcie. Tu CIA, z tej strony Harris. Odpowiedzcie, proszę.

— Tu mówi Monig — oznajmił głośnik. — Boink… oing, oing…

— Macie już coś?

— Kompletnie nic, doktorze Harris — odparł Monig. — Tam na dole nie widać nawet na trzy cale przed oczyma – za dużo mułu. Wpadliśmy na parę skrzyń, ale jak do tej pory ani śladu żadnego śmierdzącego jaja.

— Próbujcie dalej.

Cheyney, jeszcze bardziej niż zwykle przypominający buldoga, wyregulował swój czasomierz, korzystając jednego z ośmiu zegarów na płycie czołowej ULTIMACA

— Czy chcesz, żebym przejął nurków?

— Nie, Clark, jeszcze nie. Wolałbym raczej, żeby na razie zabrała się za to Joan. — Przekazałem jej mikrofon. — Ty lepiej najpierw zajmij się seriami prawdopodobieństwa.

— Załatwione. — Zaczął wprowadzać taśmę do czytnika integratora. — Pod jakim kątem analizujemy, Peter?

— Statek. Chcę wiedzieć, jak mocną osłonę miał ten właz denny.

— Tam nie było w ogóle żadnej osłony — dobiegł zza moich pleców głos Andertona. Nie słyszałem jak wszedł. — Ale to niczego nie dowodzi. Nasze zgniłe jajo mogło mieć wystarczającą osłonę samo w sobie. Albo może komuchy nie przejmowali się, czy załoga zostanie wystawiona na jego działanie, czy nie. Albo może w ogóle nie było żadnego jaja.

— Wszystko to jest możliwe — przyznałem. — Ale jednak pomimo wszystko chciałbym się tego dowiedzieć.

— Czy przeprowadził pan badania krwi? — spytała Andertona Joan.

— Tak.

— W takim razie proszę przesłać mi ich wyniki. Chcę znać liczbę białych krwinek, płytek krwi, hematokryt i OB, dla każdego człowieka.

Anderton podniósł słuchawkę telefonu, a ja podszedłem do drzwi i złapałem za klamkę.

— Hej — oznajmił Anderton, odkładając z powrotem słuchawkę. — Czy macie zamiar to tak sobie zlekceważyć? Doktorze Harris, proszę pamiętać, że przede wszystkim musimy ewakuować miasto! Nieważne, czy podrzucono nam coś naprawdę, czy nie – nie wolno nam ryzykować, zakładając, że to coś niegroźnego!

— Proszę niczego nie robić bez zgody CIA — zażądałem. — Z tego co nam w tej chwili jest wiadome, ewakuacja miasta może być dokładnie tym, co nieprzyjaciel chce uzyskać – tak by mogli przechwycić obiekt nieuszkodzony. Albo mogą dążyć do wywołania paniki z jakiegoś innego powodu, jednego z pięćdziesięciu możliwych.

— Nie wolno panu podjąć takiego ryzyka — ponuro stwierdził. — Stawia pan na szali życie ośmiu i pół miliona ludzi. Nie mogę panu na to pozwolić.

— Kiedy pan nas wynajął, przekazał nam pan pełnię władzy — przypomniałem mu. — Jeżeli chce pan rozpocząć ewakuację bez naszej aprobaty, wcześniej będzie pan musiał nas wylać na zbity pysk. Załatwienie tego z Waszyngtonem zajęłoby panu godzinę – a więc równie dobrze może pan tę godzinę dać nam.

Przez moment przypatrywał mi się z zaciśniętymi ustami. Potem ponownie podniósł słuchawkę, aby polecić przesłanie Joan wyników badań krwi, a ja wyszedłem szybko za drzwi.

Rozsądny człowiek powiedziałby, że na *Ludmile* nie uzyskałem niczego przydatnego, z wyjątkiem negatywnych informacji. Faktem jednak jest, że gdybym cokolwiek znalazł, byłaby to dla mnie ogromna niespodzianka; udałem się tam w poszukiwaniu takich niespodzianek, ale znalazłem tylko słaby ślad prowadzący do Abnera Longmansa Brauna, w większej części zimny, pochodzący sprzed piętnastu lat.

Były czasy, kiedy znałem Brauna, pobieżnie i bez specjalnych korzyści dla obu stron. Jeszcze jako student na licencjacie, specjalizujący się w naukach społecznych, zacząłem pisać pracę zaliczeniową na temat dawnego International Longshoreman's Association, opierającego się na szantażu i wymuszeniach związku zawodowego dokerów, obecnie już formalnie nieistniejącego – chociaż każdy kto miał oczy szeroko otwarte, mógł dostrzec pewne ślady jego działalności w dokach. W tamtych czasach Braun był menedżerem w firmie ubezpieczeniowej, której jedynym widocznym zadaniem było wystawianie polis dla ILA oraz jego zabijaków w dokach. Z jakiegoś powodu bawił go zuchwały młodzian, który miał czelność zawracać mu głowę i domagać się dokładnych informacji, tak więc pokazał mi sporą część sznurków, które normalnie nie pojawiają się w świetle dziennym – nic niezgodnego z prawem, ale wystarczająco dużo bym uzyskał lepszy obraz tego jak działał związek. Było tego więcej, niż kiedykolwiek mógłbym się spodziewać – a nawet podejrzewać.

Dlatego byłem zaskoczony, słysząc czyjąś uwagę w dokach, że przez cały weekend Braun miał być w mieście. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mógłby ciągle się interesować nabrzeżami, ponieważ poświęcił

sporo wysiłku, by stać się człowiekiem szanowanym w najwyższym stopniu. Ciągle był zawodowym hazardzistą, i jak zeznał w zeszłym roku komisji śledczej Kongresu, wyciągał z tego trzydzieści do pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie. Ale jego hazardowe interesy nie koncentrowały się już wokół wyścigów konnych, gier liczbowych, czy też szemranych umów ubezpieczeniowych. W ostatnich czasach, to czym się zajmował, nazywano inwestowaniem – w większości przypadków w nieruchomości. Pośrednicy w handlu nieruchomościami znali go dobrze jako człowieka, który niemalże kupił Empire State Building. (Niemalże w tym zdaniu oznacza, że zabrakło naprawdę bardzo niewielkiej kwoty.)

Joan także śledziła jego karierę, nie dlatego by kiedykolwiek miała go spotkać, ale ponieważ był on dla niej przypadkiem w badaniach ewolucji czegoś co nazywała „ego ekstra-prawnym".

— Dla tego rodzaju osobowości odpowiedzialność jest chorobą — jak mi kiedyś powiedziała. — Zawsze mamy do czynienia z niemalże otwartym konfliktem pomiędzy żądzą władzy i siły a potrzebą bycia akceptowanym. Zwykły przestępca jest niedorozwinięty moralnie, ale ludzie tacy jak Braun obarczeni są przekleństwem sumienia i wcześniej czy później załamują się, próbując je uciszyć.

— Prędzej próbowałbym złamać łożysko Timkena — stwierdziłem. — Braun jest twardy jak hartowana stal i to na całej swojej długości.

— Nie wierz w to. Symptomy są widoczne wszędzie wokół niego. Teraz wspiera sztuki na Broadwayu, sponsoruje początkujące aktorki, przyłącza się do grup dramaturgicznych – jest jedynym członkiem Buskin and Brush, który nigdy w życiu nie napisał sztuki, w żadnej nie zagrał, ani nie zaangażował się choćby na tyle, by pociągnąć za linę unoszącą kurtynę.

— To inwestycje — zauważyłem. — To jego biznes.

— Peter, widzisz to bardzo płytko. Jego prawdziwe inwestycje niemal nigdy nie robią klapy. Ale sztuki, które wspiera, już zawsze. Musi tak być; pieczołowicie pielęgnuje wspomnienia o nich, aby uspokoić dręczące go sumienie, a więc gdyby zakończyły się sukcesem powiększałyby tylko jego winy, zamiast je pomniejszać. Dokładnie to samo z tymi młodymi aktorkami. Nie jest nimi zainteresowany od strony seksualnej – ludzie jego rodzaju nigdy nie są, ponieważ życie w sztywnej, ortodoksyjnej rodzinie stanowi część ich wysiłków w kierunku osiągnięcia wysokiego statusu społecznego. On je wspiera, żeby „spłacić swój dług względem społeczeństwa" – innymi słowy one są jego talizmanami, chroniącymi go przed więzieniem.

— Nie wygląda to na jakiś bardzo satysfakcjonujący substytut.

— Oczywiście, że nim nie jest— powiedziała Joan. — Kolejną rzeczą jaką zrobi będzie udanie się do instytucji użyteczności publicznej – przekazywanie pieniędzy szpitalom, czy coś w tym stylu. Obserwuj go.

Miała rację; w ciągu niecałego roku Braun ogłosił, że stworzył fundację zajmującą się likwidacją dzielnic biedy w Detroit, które były miejscem jego urodzenia – najbardziej oczywisty przykład symbolicznego samobójstwa: *Żeby już nigdy więcej żaden Abner Longmans Braun się tutaj nie urodził*. Realizacja tej przepowiedni mocno mnie zdołowała, ponieważ następnym punktem na agendzie Joan dla Brauna, było jego wejście w świat polityki,

jako wojującego liberała – zwolennika New Deal-u, spóźnionego o dwadzieścia lat. Ponieważ sam mam lekko liberalne poglądy, kiedy jestem po służbie, z niechęcią myślałem o tym co kariera Brauna mogłaby powiedzieć o moich własnych motywacjach, gdybym na to pozwolił.

Wszystko to nie miało nic wspólnego z tym, dlaczego węszyłem tak wokół sprawy *Ludmiły* – a może jednak miało? Ciągle pamiętałem wyzywające słowa Andertona: „Nie wolno panu podjąć takiego ryzyka. Stawia pan na szali życie ośmiu i pół miliona ludzi…”. To pasowało do normalnego zakresu działalności Brauna, to prawda. Powiązania były ciągle bardzo mgliste, ale w sytuacji kiedy każdy trop mógł być użyteczny, zadzwoniłem do niego.

Rozpoznał mnie natychmiast; jak większość słabo wykształconych, kierujących się żądzą władzy ludzi, pamięć miał niemal równie dobrą jak jakaś maszyna.

— Nigdy nie przysłałeś mi tej pracy, którą miałeś napisać — powiedział. Wydawało się, że głos mu się kompletnie nie zmienił, chociaż obecnie przekroczył już siedemdziesiątkę. — Obiecałeś mi to.

— Bywa, że dzieci nie dotrzymują obietnic, pomimo tego że powinny — odparłem. — Ale mam ciągle parę kopii i tym razem dopilnuję, żeby pan jedną z nich otrzymał. Teraz jednak chciałbym prosić pana o inną przysługę – coś z pańskiej działki.

— Sprawy CIA?

— Tak. Nie miałem pojęcia, iż pan wie, że pracuję w CIA.

Braun zachichotał.

— Ciągle jeszcze wiem to lub tamto — stwierdził. — O co chodzi?

— Nie mogę panu tego powiedzieć przez telefon. Ale mamy do czynienia z największą sprawą nad jaką pracowaliśmy, i uważam że potrzebujemy eksperta. Czy mógłby pan bezzwłocznie przybyć do centrali CIA?

— Taaa, jeśli to jest rzeczywiście coś tak wielkiego. Ale gdyby tak nie było, to ja mam tu naprawdę poważne interesy, Andy. I nie mogę zostać w mieście zbyt długo. Jesteś pewien, że to sprawa z najwyższej półki?

— Daję panu na to słowo.

Milczał przez chwilę. Potem rzucił nagle:

— Andy, przyślij mi tę twoją pracę.

— Pracę? Pewnie, ale…

I wtedy zrozumiałem o co chodzi. Dałem mu słowo.

— Otrzyma ją pan — obiecałem. — Dziękuję, panie Braun.

Połączyłem się z centralą i wysłałem posłańca do mojego apartamentu, żeby odszukał jedną z tych od dawna pokrywających się kurzem teczek, z kartkami w rozmiarze legal w środku, z poleceniem żeby popędził z nią do Brauna i to na jednej nodze. Potem ruszyłem z powrotem do biura.

Atmosfera w nim wyraźnie się zmieniła. Anderton siedział za wielkim biurkiem, zaciskając pięści w napięciu. Z jego całego ciała promieniowała ledwie kontrolowana bezradność. Cheyney pochylał się nad sejsmografem,

echosondując po całym dnie rzeki w poszukiwaniu niechcianego prezentu. Żeby to dawało chociaż jakieś niewielkie szanse sukcesu, wiedziałem że musiał zatrzymać pociągi Hudson & Manhattan; łoskot wydostający się z ich tuneli, zagłuszyłby każde możliwe piśnięcie echa naszego zgniłego jaja.

— Ruszyłeś w pogoń za wiatrakami? — spytała mnie Joan, spoglądając mi badawczo w twarz.

— Nie do końca. Mam coś, jeśli uda mi się tylko wymyślić, co to jest takiego. Pamiętasz One-Shot Brauna?

— Tak. Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

— Nic — odparłem. — Ale chcę go tutaj ściągnąć. Nie wydaje mi się, żebyśmy bez niego ugryźli ten problem w czasie jaki nam pozostał.

— A na co nam zawodowy hazardzista przy tego rodzaju sprawie? Będzie nam się tylko plątał pod nogami.

Popatrzyłem na ekran telewizyjny, który w tej chwili pokazywał czarną amorficzną masę, wzbijającą się z nawet jeszcze bardziej czarnej podstawy.

— Czy udało wam się do czegoś dojść?

— Nie zrobiliśmy najmniejszego kroku naprzód — przerwał ostrym tonem Anderton. — Nawet nie wiemy, czy tam coś nam podrzucono – cała okolica usiana jest skrzyniami z ładunkiem. Harris, musi mi pan pozwolić podnieść ten alarm!

— Clark, jak stoimy czasem?

Cheyney popatrzył na zegarek.

— Termin mija za dwadzieścia dziewięć minut — powiedział.

— W porządku, wykorzystajmy więc dobrze pozostały nam czas. Zaczynam widzieć sprawy nieco wyraźniej. Joan, mamy tutaj jednorazową decyzję w warunkach ryzyka, zgadza się?

— Do tego to się sprowadza — odparła ostrożnie.

— I wydaje mi się, że nie uda nam się znaleźć odpowiedzi dzięki pracy nurków – a przynajmniej nie w tym czasie. Pamiętacie jak w 1952 Marynarka zgubiła w porcie barkę pełną amunicji? Szukali jej przez cały rok i nigdy nie udało im się odnaleźć nawet jednego pocisku; w końcu musieli ostrzec ludzi, że jeśli ktokolwiek znajdzie gdzieś na brzegu coś dziwacznego, żeby nie walił w to za mocno, ani tym nie potrząsał. Jesteśmy lepiej wyposażeni, niż Marynarka była wtedy – ale pracujemy pod znacznie większą presją czasu.

— Gdyby pan to przyznał wcześniej — ochryple stwierdził Anderton, — mielibyśmy do tej pory poza miastem już pół miliona ludzi. A może nawet milion.

— Jeszcze się nie poddaliśmy, panie pułkowniku. Sprawa wygląda tak, Joan: to co nam jest potrzebne, to trafne domysły. Udało ci się coś wycisnąć z tych szeregów probabilistycznych, Clark? Pewnie nie. Przy jednorazowych decyzjach w warunkach ryzyka, prawa rachunku prawdopodobieństwa są kompletnie nieprzydatne. A jeśli już o tym mówimy, tak zwane eksperymenty ESP pokazały nam dawno temu, że nawet sposób w jaki konstruujemy tabele decyzyjne jest pełen dziur – oraz że człowiek czujący istotę ryzyka, potrafi niemal na zawołanie wyciągnąć forsę nawet przy bardzo kiepskich szansach.

— A jeśli tacy ludzie kiedykolwiek istnieli, to Braun należy do nich. Dlatego właśnie poprosiłem go, żeby się do nas przyłączył. Chcę, żeby rzucił okiem na ten bajzel na ekranie i – zagrał na przeczucie.

— Chyba pan oszalał — oznajmił Anderton.

Energiczne pukanie do drzwi oszczędziło mi kłopotu udzielenia zaprzeczającej, potwierdzającej, czy wymijającej odpowiedzi na tę opinię. To był Braun; posłaniec musiał być naprawdę szybki, a hazardzista dał sobie spokój z czytaniem, co student z college'u myślał o nim piętnaście lat temu. Podszedł do nas i wyciągnął rękę, podczas gdy pozostali, nie kryjąc się z tym, mierzyli go badawczymi spojrzeniami.

Robił wrażenie, to prawda. Komuś kto go nie znał, trudno byłoby uwierzyć, że jego celem jest dążenie do uzyskania szacunku społecznego; na oko, już dawno temu go osiągnął. Wysoki, dostojny, chodził idealnie wyprostowany, sprężyście, pomimo swego wieku. Jego ubranie było tak odmienne od spodziewanego u hazardzisty, jak tylko można było to osiągnąć dzięki sztuce krawieckiej. Czarny dwurzędowy garnitur w leciutkie pionowe prążki, szary jedwabny krawat ze szpilką zakończoną malutką, ledwie widoczną perłą, czarny elegancki kapelusz. Wszystko to idealnie dopasowane, wszystko noszone z właściwą swobodą – można by niemalże powiedzieć z formalną swobodą. I dopiero kiedy otworzył usta, dało się poznać, że w środku tego wspaniałego ubioru siedział One-Shot Braun.

— Wyruszyłem tu natychmiast jak tylko do mnie dotarł twój goniec — przywitał się. — Co jest grane, Andy?

— Panie Braun, to są Joan Hadamard, Clark Cheyney, i pułkownik Anderton. Mówię tak szybko, ponieważ teraz musimy naprawdę się śpieszyć. Polski statek zrzucił coś w porcie. Nie wiemy, co. Może to być jakaś diabelska bomba, albo może to być po prostu ich stare pranie. Oczywiście, musimy się dowiedzieć co to jest – i chcielibyśmy, żeby pan nam to powiedział.

Arystokratyczne brwi Brauna powędrowały do góry.

— Ja? Do diabła, Andy, nie znam się na tego typu rzeczach. Jestem zaskoczony twoją propozycją. Myślałem, że CIA ma wszystkie mózgi, jakich potrzebuje – czy nie macie maszyn, które podałyby wam tego rodzaju odpowiedzi?

Wskazałem bez słowa na Joan, która wróciła do pracy czekając na zakończenie wprowadzenia. Ciągle stała przy mikrofonie łączącym nas z nurkami. Właśnie mówiła:

— Jak to wygląda?

— To po prostu nieforemny kawałek czegoś, pani doktor. Nie potrafimy nawet ocenić kształtu – jest zagrzebany zbyt głęboko w mule.

— Spróbujcie użyć Geigera.

— Próbowaliśmy. Nic poza promieniowaniem tła.

— Licznik scyntylacyjny?

— Nic, doktor Hadamard. Być może to ma osłonę.

— Domysły niech pan pozostawi nam, panie Monig. No dobrze, może to ma jakiś zapalnik zegarowy, który nie odpalił od razu przy uderzeniu, albo zapalnik żyroskopowy. Osłuchajcie to stetoskopem i zobaczymy czy wyłapiecie jakieś tykanie albo odgłosy podobne do szumu działającego silnika.

Nastąpiła chwila przerwy, i zwróciłem się do Brauna.

— Jak pan widzi, jesteśmy w kropce. Panie Brown, musimy zagrać o wielką stawkę przy minimalnych szansach na wygraną. Jak jeden rzut kośćmi – albo wyłożenie jednej ręki w kartach. Musimy mieć jakiegoś eksperta, który to dla nas zrobi – kogoś z długą listą sukcesów w tego rodzaju sytuacjach. Dlatego właśnie pana wezwałem.

— To nie ma sensu — stwierdził. Zdjął z głowy kapelusz, wyciągnął chusteczkę z kieszeni na piersi o otarł jego otok. — Nie mogę tego zrobić.

— Dlaczego?

— To nie moja działka — odparł. — Posłuchaj, w całym swoim życiu nigdy nie grałem ryzykując czymś, co sprawiałoby mi jakąkolwiek różnicę. A to, robi różnicę naprawdę. Jeśli źle się domyślę…

— To wszyscy będziemy zimnymi trupami. Ale czemu miałby pan dokonać złego wyboru? Pańskie przeczucia działają bez zarzutu już od sześćdziesięciu lat.

Braun otarł twarz.

— Nie. Nie rozumiesz tego. Szkoda, że nie możemy porozmawiać dłużej. Posłuchaj jednak, moja żona i dzieci są w mieście. Tu nie chodzi tylko o moje życie, ale również i ich. To coś, co naprawdę mnie obchodzi. Dlatego właśnie nie wyjdzie nam. W sprawach, które są dla mnie ważne, moje przeczucia nie działają.

Czułem się, jakbym dostał pałką po głowie, i tak samo, z tego co widziałem, odbierali to Joan i Cheyney. Przypuszczam, że powinienem o tym pomyśleć wcześniej, ale nigdy nie przyszło mi to do głowy.

— Dziesięć minut — powiedział Cheyney.

Spojrzałem na Brauna. Był przerażony, i znów mnie to zaskoczyło, pomimo że nie miałem żadnych praw po temu. Próbowałem przynajmniej utrzymać spokój w głosie.

— Panie Braun, proszę pomimo wszystko spróbować – na moją prośbę. Już jest za późno, żeby zrobić to w jakiś inny sposób. A więc, jeśli pański wybór będzie błędny, skutek nie będzie gorszy, niż jakby pan nic nie zrobił.

— Moje dzieci — wyszeptał. Nie sądzę żeby zdawał sobie sprawę z tego, że powiedział to na głos. Czekałem.

Potem jego wzrok zdawał się wrócić do chwili obecnej.

— No dobrze — oznajmił. — Uprzedzałem cię, Andy. Pamiętaj o tym. A więc… czy to jest bomba, czy nie? To jest właśnie to, co nas interesuje?

Skinąłem głową. Zamknął oczy. Nieoczekiwany dreszcz czystego przerażenia przeleciał mi po plecach. Z zamkniętymi oczyma twarz Brauna zmieniła się w pośmiertną maskę.

Odgłosy ruchu wody i nieregularne tykanie licznika Geigera, zdawały się wypływać z głośnika cztery razy głośniej niż jeszcze chwilę temu. Wydawało mi się, że słyszę nawet pisak sejsmografu, chroboczący po papierze, dopóki nie spojrzałem na przyrząd i nie zobaczyłem, że Clark wyłączył go, prawdopodobnie już dłuższy czas temu.

Na czole i nad górną wargą Brauna zaczęły się tworzyć kropelki potu. Chusteczka spoczywała cały czas zmięta w jego dłoni.

Anderton zaczął:

— Ze wszystkich głup…

— Cicho! — przyciszonym głosem przerwała mu Joan.

Powoli Braun otworzył oczy.

— No dobrze — powiedział. — Jeśli chcecie załatwić to w taki sposób, to ja mówię wam: to jest bomba.

Przyglądał się nam jeszcze przez chwilę – a potem wszystkie w jednej chwili, łożyska Timkena strzeliły. Z jego ust popłynął potok słów.

— A teraz ludzie zróbcie coś. Weźcie się za swoją robotę, tak jak ja wykonałem moją – zabierzcie stamtąd moją żonę i dzieci – opróżnijcie miasto – zróbcie coś, zróbcie coś!

Anderton już złapał za słuchawkę.

— Ma pan rację, panie Braun. Jeśli już nie jest za późno…

Cheyney wyciągnął błyskawicznie rękę i chwycił Andertona za nadgarstek.

— Niech pan chwilę zaczeka — powiedział.

— Co to znaczy „niech pan chwilę zaczeka”? Czy wcześniej nie zmarnowaliście już dość czasu?

Cheyney nie puścił go, tylko popatrzył badawczo na Joan i rzucił:

— Jedna minuta, Joan. Równie dobrze możesz kontynuować.

Kiwnęła głową i odezwała się do mikrofonu:

— Monig, odkręć pokrywę.

— Odkręcać pokrywę? — zaskrzeczało radio. — Ale doktor Hadamard, jeśli to spowoduje wybuch…

— To nie wybuchnie. To jedyna rzecz jakiej może pan być pewien, to nie wybuchnie.

— Co to jest? — dopytywał się Anderton. — I w każdym razie co z tym terminem?

— Pokrywa zdjęta — zameldował Monig. — Obecnie dostajemy mnóstwo promieniowania. Chwileczkę… Taaa. Doktor Hadamard to jest bomba, zgadza się. Ale nie ma zapalnika. Tylko jak mogli popełnić tak idiotyczną pomyłkę?

— Innymi słowy, to bubel — stwierdziła Joan.

— Zgadza się, to bubel.

Dopiero teraz Braun otarł twarz. Była zupełnie szara.

— Powiedziałem wam prawdę — oznajmił ponuro. — Moje przeczucia nie działają w takich sytuacjach.

— Ale tym razem zadziałały — skorygowałem. — Bardzo mi przykro, że przepuściliśmy pana przez ten magiel – i pana również, panie pułkowniku – ale nie mogliśmy przepuścić takiej okazji jak ten bajzel. To była zbyt dobra szansa dla nas, do przetestowania tego jak wasze umiejętności mogłyby zostać użyte w przypadku podrzucenia prawdziwej bombowy.

— Prawdziwej bomby? — wyrzucił z siebie Anderton? — Czy chcecie powiedzieć, że CIA to zainscenizowało? Powinniście zostać rozstrzelani, cała wasza zgraja!

— To nie jest do końca tak — wyjaśniłem. — Za podrzucenie tej rzeczy odpowiedzialny jest nieprzyjaciel, taka jest prawda. Dostaliśmy wiadomość w zeszłym miesiącu od naszego człowieka w Gdyni, że mają zamiar to zrobić, oraz że bomba będzie na pokładzie *Ludmiły*. Tak jak powiedziałem, była to zbyt dobra okazja, żeby ją przepuścić. Chcieliśmy sprawdzić, jak długo zajmie nam domyślenie się prawdy o naturze bomby – której nie znaliśmy szczegółowo – kiedy zostanie tutaj podrzucona. Poleciliśmy więc naszym ludziom w Gdyni rozbrojenie tego urządzenia, kiedy już zostało ono umieszczone na statku, ale pod każdym innym względem pozostawienie go nienaruszonego.

— Prawdę mówiąc, jak pan widzi, pańskie przeczucie trafiło dokładnie w punkt. Nie pytaliśmy pana, czy obiekt był działającą bombą, czy nie. Spytaliśmy tylko, czy był bombą. Odpowiedział pan tak, i miał pan zupełną rację.

Wyraz twarzy Brauna był dokładnie taki sam jak wtedy, kiedy szukał właściwego wariantu decyzji – jedyną różnicą były jego oczy. Tym razem miał je otwarte, widziałem więc, że utkwił je we mnie.

— Gdyby to było za dawnych czasów — oznajmił tonem zimnym jak lód — mógłbym spowodować, wprowadzenie pomysłu pułkownika w życie. Nie lubię takich sztuczek, Andy.

— To było coś więcej niż tylko sztuczka — zauważył Clark. — Pamięta pan chyba, panie Braun, że mieliśmy określony limit czasowy czas na przeprowadzenie naszego testu. Ewidentnie w przypadku prawdziwego podrzucenia jakiegoś obiektu nie mielibyśmy dowolnej ilości czasu na określenie, co w zasadzie nam podrzucono. Gdyby po upłynięciu limitu czasu nadal nie udało nam się tego określić, musielibyśmy wyrazić zgodę na ewakuację miasta, z całym towarzyszącym temu ryzykiem, że robimy dokładnie to, co nieprzyjaciel chciałby żebyśmy zrobili.

— A więc?

— A więc, generalnie oblaliśmy ten test — przyznałem. — Na minutę przed upłynięciem limitu czasu, Joan musiała kazać nurkom odkręcić pokrywę. Przy rzeczywistym ataku wroga, gdyby bomba była prawdziwa, mogłoby to oznaczać detonację; nie moglibyśmy tego zaryzykować. To, że zrobiliśmy to podczas testu, było przyznaniem się do porażki, przyznaniem się, że nasze zwykłe metody tym razem nie pozwoliły nam na jego zaliczenie.

— A to oznacza, że jedyną osobą, która go zdała, był pan, panie Braun. Jeśli kiedykolwiek dojdzie do podrzucenia prawdziwej bomby, chcemy mieć pana tutaj, jako aktywnego uczestnika naszego śledztwa. Pańska intuicja przy jednorazowych decyzjach była jedyną rzeczą, która

tym razem wyciągnęła nas z kłopotów. Następnym razem może ona uratować życie ośmiu milionów ludzi.

Zapadła dosyć długa cisza. Wszyscy z nas, włączając w to Andertona, obserwowali w napięciu Brauna ale z jego niezruszonej twarzy nie dawało się wyczytać żadnych śladów toru myśli biegnących w jego głowie.

Kiedy w końcu się odezwał, to co powiedział musiało dla Andertona zabrzmieć szaleńczo bezsensownie, i może dla Cheyneya również. A dla Joan mogło to znaczyć nic więcej niż końcowa kliniczna ocena w historii przypadku.

— To zabawne — powiedział, — myślałem o starcie w przyszłym roku do Kongresu z mojego okręgu. Ale to może być znacznie ważniejsze.

Było to, jak uważam, westchnienie człowieka pogodzonego ze sobą.

KONIEC